

Z dziejów walki ludu wielkopolskiego o prawa obywatelskie (II)

Mgr Ludwik Gomolec

W XIX wieku w dalszym ciągu trwa walka ludu wielkopolskiego o swe społeczne wyzwolenie spod ucisku szlacheckich, o zniesienie feudalizmu i o prawa obywatelskie. Krzepnie i dojrzewa w ogniu tych walk świadomość klasowa chłopów, robotników i elementów drobniomieszczańskich. Swej uprzywilejowanej pozycji w społeczeństwie broni za wszelką cenę, nawet za cenę zdrady narodowej, szlachta, posilkowana przez wyższe duchowieństwo. Dwór i plebania podały sobie zgodną rękę w wspólnej walce defensywnej wobec nacierającego ludu.

W latach istnienia Księstwa Warszawskiego (1807—1813) po raz pierwszy zarysował się poważnie gmach struktury społeczeństwa feudalnego na naszych ziemiach. W roku 1807 nadano chłopom wolność osobistą, swobodę przenoszenia się z miejsca na miejsce. Przestało istnieć prawnie i formalnie poddaństwo osobiste chłopów, lecz — niestety — nie przeprowadzono wskutek oporu szlachty uwłaszczenia chłopów. Było to więc połowiczne rozwiązanie zagadnienia chłopskiego, wówczas najważniejszego problemu gospodarczo-społecznego. Artykuł 4 konstytucji Księstwa Warszawskiego stwierdził tylko: „Znosi się niewolę. Wszyscy obywatele są równi przed obliczem prawa. Stan osób pozostaje pod opieką trybunałów.” Ale za uwolnieniem chłopów od poddaństwa osobistego nie poszło nadanie ziemi. Dekret królewski z dnia 21. XII. 1807 r. zapewniał wprawdzie opiekę sądową przy zawieraniu umów między chłopami i dziedzicami oraz zezwolił chłopom na opuszczanie ziemi, przyznawał jednakże panom prawo wyłącznej własności do gruntów chłopskich. Wprowadzony napoleoński kodeks praw miał obok konstytucji przyspieszyć proces społeczny i polityczny rozwoju społeczeństwa polskiego. Tymczasem chłop, stanowiący 77% ogółu ludności ówczesnej Wielkopolski, pozbawieni ziemi, zdani byli na łaskę właścicieli wsi. Zadłużeni feudalni właściciele ziemscy nie chcieli zawierać nowych umów z chłopami na prawie czynszowym i masowo rugowali ich z ziemi, tak, że większość chłopów dla utrzymania się na roli, uprawianej od wieków musiała nadal odrabiać pańszczyznę. Praktycznie więc, konstytucja Ks. Warszawskiego i dekret królewski z 1807 r. nie spowodowały upadku feudalizmu, zniesienia pańszczyzny i nie przyznały praw obywatelskich chłopom.

Napoleonowi I, który nadał w Dreźnie (22. VII. 1807 r.) konstytucję Księstwu Warszawskiemu, chodziło z jednej strony o pozyskanie sobie magnatów i szlachty, stanowiących wszędzie główną podporę rządów monarchicznych, z drugiej strony zalecał mu na zdobyciu spośród chłopów jak największą ilość dobrego rekruta dla swych imperialistycznych podbojów Europy. Te dwie okoliczności zadecydowały, że dyktator w nadanej Księstwu konstytucji nie wszedł na drogę rewolucyjną i nie zniósł feudalizmu.

Oddajmy głos naocznyemu świadkowi tych czasów p. Franciszkowi Gajewskiemu z Błociszewa (ur. w r. 1792 pod Margoninem), który w swych Pamiętnikach (wyd. w Poznaniu przez dr. Stanisława Karwowskiego) tak pisze o sprawie chłopskiej:

„Chłopi byli poddanymi w Polsce aż do roku 1807... Należeli do inwentarza gruntowego; dziedzic kierował nimi według

woli, ten był kucharzem, ów stangretem, inny parobkiem albo fryzjerem. Pan wybierał, co się mu podobało, czy mężczyzną czy kobietą do służby dworskiej, kojarzył małżeństwa w dobrach swoich, osadzał na gospodarstwie swoim... Chłopu nie było wolno opuścić wsi, w której się urodził, i był zawsze pod erogim batem ekonomia; nawet rząd pruski (1793—1806) pozostawił go pod jurysdykcją



Mapa Księstwa Warszawskiego
Zbiory Ludwika Gomoleca

dziedziców, ustanowiwszy sądy patrymonialne. W owym czasie nie opuszczała ręka ekonomia kańczuga, był to poniekąd znak urzędu jego, tak samo jak szlifa oznacza oficera. Ilekroć do rozdziału katusz wymyślano na chłopa (chłopa — L. G.); ja sam pamiętam jeszcze gęsiory; były to 3-calowe bale, spuszczone się jeden na drugi w słupach wyrabianych. W tych balach wyrabiano wlecia, służące na wsadzenie nóg i rąk delikwentów; spuszczano bale jeden na drugi; zabijano je klinami, a chłop, zaczepiony za ręce i nogi pomiędzy balami, wisiał po całych dniach w tej katuszy. Były także kuny, tj. obroże żelazne, do słupa przybite, rodzaj pręgierza; zamykano ową obrożę chłopu na karku, a delikwent stał po całych dniach przy owym słupie, wystawiony na wszystkie obelgi ludzi i dolegliwości powietrza. Serce się wzdryga na myśl o nieszczęśliwym stanie wieśniaków polskich w tej epoce... Nikt się nie trudził wykształceniem chłopów, owszem ponizano go jeszcze, rozpijając gorzałką, ponieważ propinacja stanowiła znaczny dochód dziedzica. Bywały wsi, w których oddawano chłopu po 15 jaj z każdego rodzaju drobiu na wiosnę, a on musiał oddać na zimę po 15 sztuk drobiu odchowanego. Oddawano mu także 2 prosięta, a on musiał oddać w 3 roku 2 wieprze... Nie skończyłbym, gdybym chciał opisać wszelkie rodzaje odrobków i danin, na chłopów pokładanych według woli i widzi mi się mniej więcej ludzkiego właściciela dóbr.”

Gajewski należał do średniozamożnej szlachty i pochodził z Wolsztyna, stąd głos ich w tych sprawach jest tym cenniejszy i plastyczniejszy. Franciszek Gajewski, długoletni żoł-

nierz i oficer wojsk napoleońskich, w sposób realistyczno-krytyczny tak pisze o zniesieniu poddaństwa osobistego i sądowego chłopów w roku 1807: „Dlatego, gdy uchylone zostało poddaństwo, ruszyli się chłopie hurmem; wszyscy nieomal opuszczali swe siedziby dla poszukiwania znośniejszego losu.” „Ale panowie polscy potrafili i w tym razie obejść wolę cesarza Francuzów (Gajewski przekonywał o dobrej woli i postępowej działalności Napoleona). Ogłoszono usamowolnienie chłopów, wszakże zatrzymano ich dobytek; wolno było chłopu opuścić swoją wieś rodzinną, ale nie mógł z niej nic zabrać, co należało do sprzętów i inwentarza gruntowego... rząd Księstwa Warszawskiego nie przyznał im owej własności, ale pozwolił poszukać innej siedziby. Ruszyło się zatem całe chłopstwo jak roje pszczoł, szukając przede wszystkim zmiany losu teraźniejszego. Taka ogólna wędrówka była powodem poniszczenia gospodarstw chłopskich. Na ten czas począł ustawać patriarchalny stosunek dziedzica i chłopów... nie mogła nowa emancypacja poddanych jak tylko krzywdę wielką wyrządzić ludowi wiejskiemu. Całkowicie podpadł ten coroczną włościan, aż doszedł do dzisiaj nędzy. Stan taki służył za dowód niestosowności półśrodków w każdym przedsięwzięciu; gdyby było samoiststwo męzów, rządzących Księstwem Warszawskim, pozwolił im poczynić ofiarę z ziemi, posiadanej przez włościan w dobrach swoich, gdyby razem z uchyleciem poddaństwa byli chłopcy ogłosili właścicielami gospodarstw, byłby się utrzymał stan wiejski przy mieniu i zamożności, ale ogłaszając ich usamowolnienie bez jał egokowalek prawa do ziemi, utworzyli tym samym klasę proletariatu, której w Polsce aż dotąd nie było.”

Podobna połowiczność i samolubstwo panów feudalnych przebiega się wtedy w nadanych prawach obywatelskich chłopom. Rozporządzeniem rządowym z dnia 23. VII. 1908 r. oddano administrację w miastach obieralnemu burmistrzom z dwoma lub trzema asesarami, po wsiach zaś wybieranym wójtom. W pięć dni potem osobnym rozporządzeniem powierzono jednak funkcję wójtów w dobrach szlacheckich właścicielowi dóbr z prawem zastępowania się przez tzw. substytutów. Administracja miejscowa dostała się w ten sposób w gminach wiejskich znowu mocą osobnego upoważnienia państwowego w ręce szlachty, chłopami w dalszym ciągu rządziła według swej woli szlachta. Masy ludowe pozbawione były dalekich swych praw obywatelskich, gdyż władza państwowa spoczywała w rękach uprzywilejowanej i posiadającej ziemię szlachty.

Z przytoczonych faktów wynika, że bazą gospodarczo-społeczną w pocz. XIX wieku na Ziemi Wielkopolskiej był ustrój feudalny. Wskutek tego także i wszelkie prawa obywatelskie i polityczne, wynikające z tego klasowego ustroju uprzywilejowały jedynie szlachtę, jako klasę posiadającą i panującą w państwie. Natomiast — mimo takich czy innych prób reform — nie przyznawały żadnych faktycznych przywilejów masom pracującym, będącym przedmiotem ucisku i wyzysku społecznego. Jest więc rzeczą oczywistą, że zdobycie w pełni praw obywatelskich i politycznych przez lud pracujący możliwe jest tylko w państwie dyktatury proletariatu, w którym władza spoczywa niepodzielnie w rękach ludu.



Pułkownik Franciszek Gajewski
Zbiory Ludwika Gomoleca

DOŻYŃKOWA SATYRA

A. W. Walczak

Pieśń dożynkowa odbijająca się echem o napęczniałe brogi i pełne stodoły, rozbrzmiewała od dawien dawna tonem pogodnym i radosnym. Zawarty w niej był przede wszystkim akcent zadowolenia z obfitych plonów. To w pierwszym rzędzie. Ale

w momencie najbardziej sielankowego obrzędu. Nawet w tych zgola niewygodnych warunkach dowcip chłopski wymyślił sposób, który pozwalał ostrzem satyry smagać

W wyniszczonej ekonomicznie wsi folwarcznej słowa te były często — jednoznaczne z żądaniem zapłaty za pracę żniwne. W XIX wieku a często i później odpowiedziały oyla pańska asygnata do własnej karczmy na kilka litrów wódki.

To, gdy chodzi o krytyczny stosunek do właścicieli. Lecz znane są pieśni — a najczęściej nie znane i czekające na wydobyć z ukrycia — nie respektujące charakteru ofiarńiczego dożynki i skierowane w ostrej formie przeciw szlugsom pańskim: oficjalistom, ekonomom, karbowym, włodarzom.

W pieśniach tych wielkopolski „urzędnik” nazywany jest dosadnie: „osa”, „żmija”, „rzeźnikiem”, „złodziejem złym”, „jak pies”, „bykiem”. Ten „wudarz bije dziwki”, nie puszcza robotników „wcas do domu”, kradnie, funduje kochankom, nie daje wytechnienia w czasie posiłków, łaje, tłucze i znęca się bezlitośnie nad czeladzią. Tak to brzmi w wierszu:

Przed dworem wisi kosa,
Nasz ekonom gdyby osa.

Gdyby osa, gdyby żmija,
Co pochwiła bierze kija.

Dobry nas pan dobry,
Jako małe dzieci,
Ale jego sługi
Biją na zabicie.

Przed dworem czorny kierz,
Nasz karbowy kieby pies.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że zwrotyki wycelowane przeciw urzędnikom pańskim a odzwierciedlające stosunki panujące na wsi folwarcznej, przypominają żywo treść „Żenców” Szymona Szymonowicza z XVII wieku. I tam i tu w posiadłościach feudalów i w posiadłościach obszarńików kapitalistycznych wykonawca woli pańskiej z nahażem w rękę katował lud i zakłócał porządek dnia regulowany rytmem wschodów i zachodów.

Ale lepszej okazji aniżeli dożynki same dostarczyły żniwiarzom swobodne przegotowania do obrzędu. Wtedy do rymów wędrowała nieawiać klasowa, znajdowała wyraz słowa i dosadna chłop-ska satyra. To były jednak owe „paszkwile”, których wówczas nikt nie zbierał. Z druku można powtórzyć chyba jedną dożynkową strofę z powiatu rawickiego:

Do roboty to nom koż,
A żarcio to nom nie łokrosz.
Nie łokrosz, nie łosol,
Ino je tak łobryzgol.

Tych peśni właściciel najczęściej nie słyszał, bo śpie-



w refrenach rozbrzmiewających u wrót owocodajnej jesieni i u bogatych odrzwi pańskich mieściła się także spora doza goryczy, a co najmniej ulgi po okresie wytężonych, źle albo wcale nie opłacanych prac w polu.

Czasem skargi układały się w rymy. Nikt ich jednak nie zbierał, nikt nie kolekcjonował, bo „ludoznawcami” byli przeważnie ziemianie, albo „uczeni”, trzymający się klamki pańskiej. Sprawdzianem ich stosunku do tych samorządnych i uświadomionych przejawów twórczości ludowej jest fakt, że do zbiorów drukowanych przedostały się w pierwszym rzędzie strofy sławiące dobroć pańską. Czasem tylko jakiś przedrukowany dwuwiersz zdradzał stopień uświadomienia klasowego u chłopskiego żniwiarza-wierszoklety, albo u całego buntującego się kolektywu.

„Ludoznawcy” burżuazyjni traktują te pieśni jak obelżywe potwarze, nazywając je po prostu „ordynarnymi paszkwilami”. Ponieważ były śpiewane z okazji tradycyjnej uroczystości dożynkowej w obliczu pana, nie odzwierciedlały nawet w minimalnym stopniu bestialskiego ucisku panującego na wsi, znanego zresztą z innych źródeł. Ale i okrucy ze zbiorów drukowanych, którym chcemy się przyjrzeć, pozwalają stwierdzić, że iskry uświadomienia klasowego tliły się w chłopskich umysłach nawet

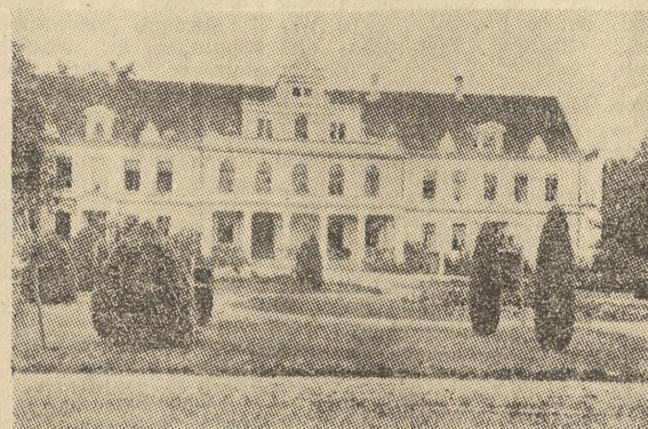
panie dziedziczki i panów dziedziców.

Wykorzystano mianowicie próżność pańską, rodową dumę Mielżyńskich, Morawskich i Radziwiłłów w ten sposób, że na przykład u Mielżyńskich strofowano ostro, to, co jest niedobrego u Morawskich, a u Morawskich napiętnowano okrucieństwo oficjalistów i nierządność Mielżyńskich. Zależało więc porachunki po sąsiedzku.

U naszego jaśnie pana szlaby są sklane
A u pana Mielżyńskiego wiechciem zatłkane

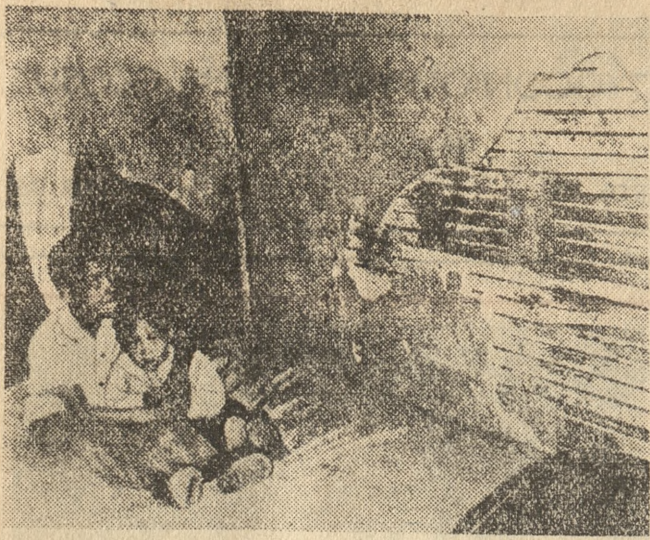
— śpiewano kiedyś w Oporowie. Niedwuznaczne i dosadne aluzje kierowano pod adresem schorowanego degenerata z sąsiedniego dworu, pod adresem sknery ukrywającego się przed żeniami w magnackich komnatach, kiepskiego gospodarza, jego żony „jedziny”, co „dziwki tłucze”. W długim szeregu innych strofek powtarzał się często beznadziejny apel do głuchej na prośby ofiarności pańskiej. I tak w powiecie krotoszyńskim śpiewano:

A bądźże nam rad
Bądź nam panie rad.
Zabij krowę na śniadanie
Wot na obiad.
Po obu stronach Wisły powtarzano w dożynkowym orszaku inne lapidarne wezwania żenców:
Zarębijcie nam barana
Bośmy se potłukli kolana.



Dawniejszy dwór w Wolsztynie
Zbiory Ludwika Gomoleca

(Ciąg dalszy na str. 3)



Fot — CAF

Polityka wielkich koncernów i rządu pogarsza z każdym dniem ciężkie warunki robotników. Nędzę najmocniej odczuwają dzieci, nad którymi rząd USA nie organizuje żadnej opieki.

Na zdjęciu: dzieci robotników murzyńskich mieszkają wraz z rodzicami w zrujnowanej piwnicy na przedmieściu Nowego Jorku — Bronx.

Skarb łak wielkopolskich — TORF —

Przed kilku dniami doniosła prasa o konferencji wojewódzkiej omawiającej zagadnienie wykorzystywania pokładów torfu naszego regionu.

Torf będący pewnego rodzaju formacją węgla, i to formacją najmłodszą, powstającą w naszych czasach, poprostu w naszych oczach, jest produktem roślinnym. Zawarta w nim energia cieplna to nie co innego, jak energia słoneczna uwieczniona w roślinach wskutek ich procesów fizjologicznych. Podstawowym tworzywem koniecznym dla powstania torfu są w pierwszym rzędzie mchy-torfowce. Mchy te porastające mokradła rozrastają się stosunkowo szybko, przy czym jednak dolna ich część szybko ulega obumieraniu i opada na dno moczaru, stwarzając tam pod wpływem olbrzymich swoich mas i wywołanego nimi ciśnienia pokłady torfu. Oczywiście prócz mchów torfowych w tworzeniu torfu biorą również i inne rośliny udział, jak np. trawy, wrzośy, a nawet drzewa porastające tu i owdzie moczary. Udział ten jest jednak wobec olbrzymich mas substancji torfowców nadzwyczaj znikomy.

O masach substancji roślinnej przetwarzanej na torf może świadczyć fakt, że pokłady torfowe w okolicach Konina i Koła dochodzą do grubości 15 m.

O torfie utarło się pojęcie jako o paliwie mało wartościowym. Pojęcie to ma swe uzasadnienie, o ile porównujemy go np. z tak wysokowartościowym paliwem, jakim jest np. węgiel kamienny, gdyż wartość kaloryczną tego ostatniego jest jeszcze raz tak duża jak dla torfu, jednakże względny koszt jego wydobycia i transportu jest wielokrotnie większy. W tym względzie torf jest paliwem miejscowym, w miarę istniejących możliwości zastąpić surowcem choćby pośledniejszym, lecz łatwo dostępnym. Musimy mieć na uwadze, że nasze pokłady węgla kamiennego, którego tworzenie trwało miliony lat, nie są niewyczerpalne, dalej że węgiel kamienny przedstawia dla nas również wartość cennych dewiz, a poza tym wykorzystywanie w okrzach torfowych paliwa miejscowego pozwala na odciążenie transportu węgla z odległych nierzadko okęgów węglowych.

Co prawda posiada torf i swe mniej pożądate cechy, z których jego wysoka wartość wody jest bodaj najuczuciwszą. Świeży torf zawiera bowiem do 90 procent wody, a wysuszony ok. 25-30 proc. Fakt ten sprawia, że transportowanie torfu poza okęg wydobywania jest nieekonomiczne. Lecz niedogodność tę można usunąć w skali technicznej. Przykładem takiego rozwiązania mogą być elektrownie pobudowane w okęgach torfowych, które wytwarzają z taniego paliwa energię elektryczną, którą zasilić nawet odległe ośrodki przemysłowe i mieszkalne. Dla przykładu chciałbym przytoczyć, że np. elektrownia o mocy około 7 500 KW zużywa rocznie około 50 ha torfowiska o grubości 3 m. Torf można zużywać albo w formie znanych cegiełek, wysuszonych na powietrzu, lub też być może w formie przerwanych w formie nadających się do obrotowego stosowania. Zwiększa to w wypadku zastosowania dla celów przemysłowych. W ostatnim wypadku stosujemy zazwyczaj tak zwany torf maszynowy. W odróżnieniu od torfu zwykłego, który po wykopaniu podlega tylko suszeniu, torf maszynowy, po wydobyciu zostaje rozdrobniony w specjalnych maszynach i poddany silnemu sprasowaniu. Uzyskuje się dzięki temu spójne i jednolite cegiełki, które można bez trudu poddać dalszej przeróbce.

Przeróbka ta może pójść w różnych kierunkach. I tak można uzyskać torf maszynowy

przez proste spalanie przetworzone na energię cieplną, lub też przez zgaszanie wytworzyć gaz pędny do motorów, przy czym wartość kaloryczną takiego gazu wynosi około 1100-1200 Kalm. Dalej można torf maszynowy poddać procesowi koksoowania (torf zwykły nie nadaje się do tego celu, gdyż ulega rozkruszeniu). W wyniku takiego zabiegu uzyskuje się z 100 kg torfu o zawartości 25% wody około 33 kg koksu torfowego, mogącego służyć do opalania kotłowni siłowni, centralnego ogrzewania itp., 4 kg smoły, 0,6 kg siarczanu amonu (nawóz azotowy), 0,5 kg octanu wapnia (do wyrobu kwasu octowego lub acetonu), oraz 0,3 kg metanolu (alkoholu metylowego). Uzyskany przy tym zabieg gaz służy do opalania retort koksoowniczych. Koks taki może być również użyty w metalurgii podobnie jak węgiel drzewny. Smoła można zużyć jak normalną smołę drzewną lub też użyć z niej około 50 proc. olejów motorowych i około 25 proc. parafin twardych.

Przez gazowanie torfu przy równoczesnym przedmuchiwaniu pary wodnej uzyskuje się tak zwany gaz Monda. Gaz ten przemienia się w rozcieńczonym kwasem siarkowym, uzyskując siarczan amonu, stosowany jako sztuczny nawóz azotowy, przy czym odzyskuje się z torfu ok. 70 proc. zawartego w nim azotu. Pozostały gaz służy do celów energetycznych i ogrzewalniczych.

Najpopularniejszym zastosowaniem torfu, poza użyciem jako surowiec energetyczny, jest użycie go jako ściółki torfowa, przy czym wykorzystuje się jego nadzwyczajną siłę chłonną połączone z zdolnością zbijania zapachów. Przy tym obornik ze ściółki torfowej utrzymuje znacznie lepiej od słomy pochłonięte wydaliny, pozwalając na lepsze ich wykorzystanie w glebie. Przez przepojenie torfu hodowlami bakterii nitrifikujących uzyskuje się doskonały nawóz uzupełniający ubogę w bakterie gleby. Dalej przez podgrzanie pod ciśnieniem torfu z amoniakiem uzyskuje się cenny nawóz azotowy, zawierający ponad 20 proc. azotu, przy czym około 60 proc. zawartego w nim amoniaku znajduje się w nim w formie związanej, tak że nie ulega łatwo wypłukaniu przez wodę. Nasycając torf melasą uzyskuje się suchą, skoncentrowaną karmę dla bydła. Wyszczony i wysterylizowany przez silne ogrzanie torf służy do przechowywania owoców, jak np. jabłek itp. Torf zmieszany z włóknem koksowym i środkiem wiążącym daje po wyprasoaniu cenne pały izolacyjne stosowane jako izolacja cieplna.

Nie od rzeczy będzie przy tym wspomnieć o jeszcze jednej odmianie torfu, tak zwanej borwinie, mającej obszerne zastosowanie w lecznictwie, czy to pod postacią kąpieli czy też okładów przy różnorodnych cierpieniach, wśród których choroby gośćcowe i reumatyczne zajmują poważne miejsce. Borwinę można uważać po prostu za torf bogaty w związki huminowe oraz związki żelaza, glinu itp.

Również ciekawym zagadnieniem są próby uzyskania z torfu tak zwanych antybiotyków, substancji, które w lekach zaliczamy do penicyliny, streptomycyny itp. środki, które w rękach lekarza pozwalają zwalczać choroby wobec których dawna medycyna stała bezradna.

Widzimy więc, że w skromnym torfie drzewa duże możliwości wykorzystania, których może się powołać przyczynić do rozwoju naszej gospodarki i rozbudowy naszego przemysłu.

Witold Gościński

Biały robotniku — oto moja dłoń

Józef Tułasiewicz

„Senator Bilbo jest rudy i ma czerwony nos. Ten demagog w czasie zebrań publicznych pije tylko mleko, ale korzysta z przerwy, aby w kąciku pociągnąć łyk whisky. Zyskuje poklask tłumu opowiadając pikantne historyjki i wzywając do walki z Murzynami”.

Ten krótki szkic charakterystyczny w sposób tak wymowny jednego z niedawnych przedstawicieli życia politycznego Stanów Zjednoczonych senatora stanu Mississippi — Teodora Bilbo, nakreślony został piórem wnikliwego obserwatora współczesnego życia Ilii Erenburga, w książce pt. „Wróciłem z USA”.

Senator z Mississippi walczy o pierwszeństwo z Hitlerem

Jeśli i my zmuszeni jesteśmy zająć się na chwilę osobą senatora Bilbo, czynimy to dlatego, że jest on typowym przedstawicielem faszyzmu amerykańskiego, i który wzorem hitlerowców prowadzi w Ameryce kampanię rasistowską, skierowaną przeciw 15 milionom Murzynów, stanowiących jedną dziesiątą część ogółu ludności USA.

Nie bez powodu senatora Bilbo otaczała w Ameryce niesławna opinia przywódcy tamtejszych rasistów. W 1947 roku wydał on książkę pt. „Wybierając między izolacją, a przelstoczeniem się w mieszaniach”, w której nagromadził nie tylko dziesiątki najbardziej sprzecznych z nauką wypowiedzi amerykańskich i niemieckich rasistów, ale obnażył jednocześnie swoje prawdziwe oblicze wstecznika, głosząc teorie odmawiające Murzynom równouprawnienia we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Książka faszyzta Bilbo szermuje twierdzeniem, że „cywilizacji białego człowieka grozi zagłada” i że istnienie USA zachwiane jest rzekomo wskutek zmieszania się białej ludności z przedstawicielami innych ras, a zwłaszcza z Murzynami.

W swej nienawiści rasowej Bilbo posuwa się tak daleko, że zaleca rządowi Stanów Zjednoczonych wysiedlenie całej ludności murzyńskiej do Afryki, gdzie w puszcach i pustyniach Murzyni znajdują — jak pisze — „bardziej sprzyjające warunki dla swego rozwoju”. Podobnie nikczemne brednie wypełniające przeszło 300 stronicową książkę, przypominają do złudzenia innego bardziej znanego Polakom faszyzta, „twórcę” rasizmu w hitlerowskich Niemczech — Rosenberga. Ale amerykańskiego senatora podobieństwo takie bynajmniej nie razi. Z kart jego książki dowiadujemy się bowiem, że „pierwszeństwo” w tym względzie należy się jemu, ponieważ „bariery rasowe istniały w USA już wtedy, gdy świat nie słyszał jeszcze o Hitlerze”.

Książka Bilbo wywołała oczywiście oburzenie wśród postępowej części ludności USA. Oburzenie to usiłował zresztą już naprzód storpedować przebiegły senator z Mississippi, domagając się przekazania „spraw” wszystkich obrońców równouprawnienia Murzynów i postępowych działaczy w USA osławionej komisji dla badania tzw. antyamerykańskiej działalności.

Okazało się jednak, że głosy sprzeciwu podniosły nawet kapitaliści — właściciele fabryk i przedsiębiorstw, ba — nawet Morganowie, Rockefellerowie, Du Pontowie i Mellonowie, będący właściwymi panami całego Południa USA. Ci ostatni — rzecz jasna — przeciwni byli jedynie wysiedleniu Murzynów i to bynajmniej nie bezinteresownie. Ktoż bowiem wówczas spełniałby najcięższe, a zarazem najbardziej podstępne prace w USA, koby pracował na plantacjach Południa w warunkach niewiele różniących się od dawnego niewolnictwa? Kto pomnażałby bogactwa „panów z metropolii”, ciągnących krociowe zyski z ucisku, niedoli i nędzy ludności murzyńskiej pracującej w fabrykach i kopal-

niach? Kto wreszcie byłby wówczas przeciwwagą dla „białego” proletariatu, któremu w wypadkach niezadowolenia z głódowych prac, można zawsze grozić zastąpieniem przez „czarnych” robotników?

Rasizm — narzędziem ujarzmiania narodów

W jednym tylko z swoich twierdzeń senator Bilbo nie wiele się mylił. Rasizm w Stanach Zjednoczonych powstał już dawno, bo poczynając od końca XVII wieku. Już wówczas starano się uzasadnić „konieczność” wypędzenia rdzennych mieszkańców Ameryki — Indian, a teoriami rasistowskimi usprawiedliwili bezліtosny wyssek setek tysięcy Murzynów — niewolników na plantacjach bawełny. Znalazł się nawet „doktor” — niejaki Van-Evry, który twierdził, że „wyszkolenie wywołuje w mózgu Murzyna utratę poczucia równowagi ciała”. Szarlatanię twierdzenia podobnych „naukowców” nie pozostały — nie stety — bez wpływu na teorię rasistowską, które przetrwały do Europy.

Rasizm rozwinął się w Stanach Zjednoczonych w drugiej połowie XIX w., a zwłaszcza na początku XX w. Był to okres, w którym w Ameryce nieludsko tępieno Indian, kiedy Stany powiększyły swoje terytoria kosztem wojen zabójczych prowadzonych z Meksykiem i Hiszpanią, a także zagarnięcia licznych ziem sąsiednich np.: Wysp Hawajskich, Filipin, Kuby, Porto Rico. Jest rzeczą interesującą, że w tym samym okresie zrodziły się w Ame-

rową” ludność, zwłaszcza przedstawicieli rasy murzyńskiej sekunduja im rozmaici „naukowcy” w rodzaju socjologów Bogardusa, Lloyda Warnera i Leo Thralla. „Systemy socjalne amerykańskich grup etnicznych” — rok wyd. 1945) „udowadniający”, że Murzyni skazani są na izolację i podporządkowanie białym ze względu na „odmienne cechy rasowe” — „niezmienną” im przystosowanie się do społeczeństwa amerykańskiego”.

Prawdziwe oblicze Rycerzy Kolumba

Propaganda rasizmu w USA osiągnęła obecnie niewątpliwie największe nasilenie. Do szerokiej warstw ludności amerykańskiej przenika ona najrozmaitszymi kanałami, przez prasę, film, radio i literaturę, jak i poprzez liczne faszystowskie i profaszystowskie organizacje w rodzaju „Ku-Klux-Klanu”, „Legionu amerykańskiego”, „Rycerzy Kolumba” i wielu innych, dokonujących bandyckich aktów linczą na Murzynach i terroryzujących osoby zwalczające dyskryminację rasową. To szczególne nasilenie nienawiści rasowej w USA wiąże się z oczywistym upadkiem kapitalizmu, z jego rozpaczliwym usiłowaniami powstrzymania postępującego procesu swego rozkładu wewnętrznego.

Teorie rasistowskie zaprzęgnięte w służbę kapitalizmu amerykańskiego w coraz większym stopniu przenikają tamtejsze ustawodawstwo. W większości stanów wydane zostały ustawy rozszerzające tzw. „segregację”, czyli przy-

w 2/3 przez ludność murzyńską. „Segregacja” obowiązuje tam we wszystkich środkach lokomocji w kościołach wszystkich wyznań — nie wyłączając katolickiego, w szpitalach (gorsze przeznaczono dla Murzynów), w restauracjach, salach kinowych i teatralnych („biali” na parterze, Murzyni na balkonach), nawet przy wejściach na dworce i dojeżdżalniach do kas biletowych.

Niektóre stany wprowadziły ponadto ustawy zakazujące Murzynom przebywania w miejscach publicznych przeznaczonych dla „białych”, a więc w parkach, na placach i boiskach sportowych. W Missourii, Północnej Karolinie i Teksasie — Murzynom zabroniony jest wstęp do bibliotek przeznaczonych dla „białych”. Szczytem cynizmu jest ustawa w stanie Missisipi zaliczająca wszelkie wystąpienia w obronie równości rasowej do kategorii zbrodni.

Po tym co napisaliśmy łatwo zorientować się, jak wobec tego w „wielkiej demokracji” wygląda prawa wyborcze Murzynów. Ponieważ na łamach „Głosu” omawialiśmy niedawno ten temat (nr 192 art. „Czy wiesz?”) przypomniemy jedynie najważniejsze momenty tego zagadnienia. Wystarczy przy tym, jeśli w kwestii tej posłużymy się twierdzeniami socjologa burżuazyjnego i socjaldemokraty szwedzkiego — prof. Gunnara Myrdala, przytoczonymi w jego wydawnym podczas drugiej wojny dziele pt. „Dylemat amerykański — Problem murzyński i współczesna demokracja”.

Socjolog ten stwierdza, iż spośród 3,7 milionów dorosłych Murzynów w 8 południowych stanach, tylko 80 do 90 tys. głosowało podczas wyborów w 1940 r. Wyminia on szereg „legalnych” trików umożliwiających pozbawienie Murzynów praw wyborczych. Należą do nich np. „prawobory”, w których biora udział tylko „biali” i w których faktycznie przesądzone zostaje wyniki wyborów, „podatek wyborczy” — wyłączający praktycznie z wyborów 10 milionów obywateli (w tym 4 mil. Murzynów), a dalej różne cenzusy majątkowe, oświatowe, moralne itp. Prof. Myrdal pisze m. in.: „większe znaczenie niż te przepisy prawne przy pozbawieniu Murzynów na Południu praw wyborczych mają praktyki pozaprawne... Gwałty, terror i zastraszanie były i dotychczas są skutecznie używane na Południu, aby pozbawić Murzynów praw wyborczych”.

Co było powodem zamordowania M. Snap'a

Szczególnym sposobem ograniczania praw wyborczych Murzynów są tzw. egzaminy „dojrzałości politycznej”, stosowane nawet w Nowym Jorku. W przytoczonej już przez nas książce, Ilija Erenburg opisuje następującą historię:

„Czarnemu profesorowi dało to „skommentowania” kilka dokumentów. Na zakończenie egzaminujący pokazał mu chińską gazetę:

— Czy pan rozumie co tu piszą?

— Doskonale rozumiem — odpowiedział profesor — piszą tu, że biali nigdy nie dopuszczają Murzynów do urn wyborczych. „Nawet jeśli Murzyn zapłaci kontrybucję i uda mu się zdać egzamin — pisze Erenburg — kilka uderzeń pałką wybiło mu z głowy upór wyborczy”.

W marcu 1948 roku w stanie Georgia miejscowe organizacje Ku-Klux-Klanu ogłosiły, że „krew poleje się na ulicach Południa, jeśli choć jeden Murzyn posiedzi do wyborów”. I nie skończyło się tylko na pogrozkach. Krotni stanu Georgia zanotowały morderstwa dokonane na Murzynach którzy chcieli skorzystać z przyszłujących im praw wyborczych. M. in. za-

(Ciąg dalszy na str. 4)



Fot — CAF

Amerykańska szmira filmowa, ogłupiająca propagandą i pornograficznymi wydawnictwami deprawującą młodzież. Toteż nie brak w Stanach Zjednoczonych band, których członkowie (jak na zdjęciu) liczą od 8 do 13 lat. Z takiej młodzieży wyrastają kaci Murzynów i oprawcy, znęcający się nad jęczącymi w Koźdo.

ryce nowe teorie rasistowskie (John'a Burgess'a, Gosmera, i John'a Fiske'go) opierające się na rzekomej „wyższości” rasy anglosaskiej.

Z chwilą wkroczenia Stanów Zjednoczonych w fazę imperializmu, tamtejsi meżowie stanu zaczęli szeroko propagować owe teorie, celem uzasadnienia licznych ekspansji terytorialnych, prowadzonych przez USA. Argumentami rasistów posługiwali się zwłaszcza senator Beveridge (nawoływał do rozprawienia się z powstańcami na Filipinach) senator Henry Lodge (1901) i sekretarz stanu John Key — uzasadniający w ten sposób „konieczność” hegemonii światowej Stanów Zjednoczonych.

Współcześni rasisci amerykańscy występują z równie niedorzecznymi teoriami. Pro pagują idee amerykańskiej „wyższości”, wychwalają „amerykański styl życia”, kosmopolityzm, głosząc nienawiść do innych narodów, wiedząc oczywiście, że „poglądy” takie wykorzystuje skwapliwie burżuazja amerykańska, kierująca życiem gospodarczym i polityką USA i zmierzająca do ujarzmienia przez kapitał amerykański innych narodów. W rasistowskiej nagonce na „kolo-

musowe oddzielenie „białych” od „kolorowych”. Są to chyba najdziksze przepisy stosowane w naszym wieku na globe ziemskim, przepisy upodabniające zwłaszcza 15-milionową ludność murzyńską USA. Stanowią one jednocześnie podstawę bezprawnego ucisku, pańszczyźnianego wyzysku i przekreślają wszelkie prawa obywatelskie Murzynów.

Najbardziej powszechne „ustawy” ograniczające Murzynów co do miejsca zamieszkania, wprowadzają przepisy o odrębnych dla nich szkołach, wagonach kolejowych, restauracjach, miejscach w teatrach i kinach. W 22 stanach zabroniona jest wspólna nauka „białych” i „kolorowych” dzieci, choć oficjalne przepisy mówią o „równych warunkach nauki”. W 14 stanach Murzynom nie wolno jechać w wagonach kolejowych i autobusach przeznaczonych dla „białych”; w przeszło 30 stanach obowiązują ustawy zabraniające ślubów między „białymi” i „czarnymi”.

„Prawo” uzupełnione terrorem i gwałtem

Rekordy w stosowaniu ustaw rasistowskich biją stany południowe, zamieszkałe

Dyr. Doroszyński odkrywa Warszawę

Józef Szczubiewski

W roku 1875 otwarto w Poznaniu Teatr Polski. Jesienią tego roku rozpoczął regularne przedstawienia zespół aktorów pod przedsiębiorczym kierownictwem Karola Doroszyńskiego i W. Terenkoczego. Po paru miesiącach Doroszyński i Terenkoczy doszli do wniosku, że ich pierwszy sezon poznański skończy się poważnym deficytem, jeśli nie zdołają wyrównać strat na gościnnych występach. Ówczesny Poznań nie mógł jeszcze utrzymać swego teatru przez cały rok. Zmuszeni taką koniecznością obaj dyrektorzy — wiosną 1876 — dobili targu z właścicielem teatru ogródkowego Tivoli w Warszawie, wydzierżawiając scenę i widownię na cztery, pięć, sześć, siedem i wreszcie — Ośmiu. Ośmiu decyzyjną przepadła właśnie na kulminacyjny rok rozwoju teatrzyków ogródkowych w stolicy, gdzie od kilku lat prowincjonalne towarzystwa dramatyczne w sezonie letnim, nie przebiegając w środkach, walczyły o pieniądze i sławę aktorską, przyciągając do tanich teatrzyków szerokie rzesze nowych widzów, przede wszystkim ze sfery rzemieślniczej i drobnego kupiectwa warszawskiego.

W końcu kwietnia 1876 r. Doroszyński i Terenkoczy ruszyli z zespołem poznańskim do Warszawy, zatrzymując się po drodze przez cztery tygodnie w Kaliszu. W końcu maja ich trzydziestoosobowy zespół (15 aktorów, 15 aktorek, nie licząc personelu pomocniczego) znalazł się w Tivoli przy ul. Królewskiej (w pobliżu Marszałkowskiej). Była to pierwsza w historii wyprawa teatru poznańskiego do stolicy. Stawka była duża: wytrzymać w Warszawie konkurencję teatrzyków ogródkowych takich jak Eldorado, Alhambra, Alkazar, (oraz dwóch mniejszych), zdobyć fundusze na wyrównanie poznańskich deficytów, zdobyć fundusze na dalsze prowadzenie teatru w Poznaniu i zyskać „warszawski stempel” a więc zmocnić egzystencję teatru w stolicy Wielkopolski. Niepowodzenie w Warszawie groziło poważnymi komplikacjami w Poznaniu. Toteż Doroszyński i Terenkoczy, szykując się do wyprawy po złote runo, zrobili wszystko co było w ich mocy, by zmniejszyć ryzyko. Brak wybitniejszych aktorów zastąpili starannością wystaw, reżyserii i karnością zespołu, a przede wszystkim przegotowali repertuar, który nie tylko był bezkonkurencyjny na tle współzawodniczących teatrzyków, ale jakością nie ustępował ówczesnemu repertuarowi najlepszej sceny polskiej, warszawskiemu Teatrowi Rozmaitości.

Po zwyczajnym przedstawieniu na cał dobrotynny rozpoczęto sezon 1 VI wspólnie

czesną komedią Zalewskiego „Przed ślubem”. Na widowni — pustki! Następnego dnia — „Dwie sieroty”, najnowszy „przebieg” paryski, nieco makabryczny dramat w 8 obrazach. Jeden z reporterów pisał: „sztuka ludowa działająca energicznie na nerwy i izzawe gruczoły”. 5 VI w drugi dzień Zielonych Świąt dano „Wielkie bractwo” — komedię Fredry (syna), która zgromadziła w Tivoli „największe spośród wszystkich teatrzyków tłumy” a także „publiczność do wykwinniejszych sfer należąca”. I oto już po pięciu przedstawieniach prasa warszawska zaczęła zauważać, że „pewna równość w ogólnym wykonaniu wznosił trupa poznańska ponad dotychczasowy poziom wędrowniej sztuki”. Doroszyński poczuł grunt pod nogami: miał już dobrą kasę, tłum na widowni, dużo obiecujące choć ostrożne jeszcze uznanie w prasie i nadspodziewanie „publiczność wykwinniejszą”. Zaczął wierzyć w powodzenie.

Letni teatrzyk Tivoli mieścił się w dużym ogródku. Nieduża scenka i kilka pierwszych rzędów krzesła stały pod dachem. Oceniony przez przeciętną ilość widzów dziennie w Tivoli, wyniosła około 500, w lipcu — 600, sierpniu — 950, wrześniu — 1100. Cyfry te świadczą o tym, że teatr poznański zdobywał powodzenie z trudem, ale stopniowo coraz większe.

W sobotę, 10 czerwca tysiąc widzów podziwiał importowaną z zagranicy nowość — „Podróż naokoło świata w 80 dniach”, czyli fantazję Juliusza Verne przeobrażoną na sztukę sceniczną. Doroszyński dużo sobie obiecywał po tej nowości, ale konkurencja nie spała. Gra biński w trzy dni później wystawił w Alkazarze to samo, prześcigając rywala wystawnością dekoracji: okryty, krokodyl, słoń, Kanał Sueski, pałac maharadży, „grota węzowa” na Borneo, napad czerwonooskórnych na kolej żelazną — a wszystko na maleńkiej scenie! Wprawdzie „Podróż” grano w Tivoli aż przez 10 dni z rzędu, ale sukcesem kasowym nie była. Doroszyński zrozumiał, że nie pobije konkurentów na polu ich specjalności, i że tajemnica jego powodzenia w Warszawie leży w repertuarze poważniejszym.

Oto najciekawsze pozycje sezonu w Tivoli: „Dwa światy”, dramat Feuilleta (7 razy), „Giełdziści”, komedia Mosera (4 razy), „Stry Sam”, komedia Sardou (4 razy), „Nitka jedwabiu”, komedia Sardou (2 razy), „Świecna partia”, komedia Augiera (5 razy), „Don Juan” (Moliera), „Skapiec” (Moliera), „Intryga i miłość” (Schillera), „Nowy don Kiszot” (Fredry), „Emigracja chłopka” (Anczyca), „Podróż po Warszawie” (Schober). Repertuar ten wyraźnie dominował nad zalewem bzdury i „rozczochranych melodramatów” w innych teatrzykach ogródkowych, których dyrektorzy traciли wszelką artystyczną miarę w gorączkowej gonitwie za pieniądzem.

Dwukrotnie wystawieniem Moliera Doroszyński rzucił rekawicę Teatrowi Rozmaitości, gdzie Molier był wówczas całkowicie zapomniany. „Emigracja chłopka” Teatr Rozmaitości odrzucił a w Tivoli stała się niebywałym sukcesem; grano ją 29 razy a prasa zgodnie nazwała sztuką Anczyca najciekawszym wydarzeniem lat ostatnich w życiu teatralnym Warszawy. Umiarkowana w sądach „Gazeta Warszawska” pisała: „fenomenalna nowość... jedno z wybitniejszych, wyjątkowych niemal powodzeń w dziejach naszej sceny”.

Oczywiście nie można przeceniać zasług Doroszyńskiego w tym, że „nie łowił ryb w mętnej wodzie kankanów”, to znaczy, że nie pod-

pierał kasy licha operetka. Doroszyński po prostu nie miał zespołu do tego rodzaju sztuk. Jednak niewątpliwą jego zasługą, jest fakt, że ani razu, nawet w krytycznych momentach, nie ratował się szmيرًا nagminnie stosowaną przez konkurentów. Dekoracje w Tivoli nie śmieszyły prymitywem, kosztowny nie raził niedoręcznością, w każdej sztuce znał było jakiś sens reżyserski, aktorzy nie błądzili się, byle tylko zyskać oklaski, i — co było naprawdę niezwykle w ogródku — umieli teksty ról. Recenzent „Kuriera Codziennego”, oceniając działalność teatrzyków ogródkowych za cały sezon wyróżnia jedynie Tivoli: „Doroszyński i Terenkoczy dali przedsmak tego, co mogłaby w Warszawie dla sceny zrobić ruchliwa prywatna antrepreza, która działając swobodnie, nie uwięziona w kole rutynicznych nawyków, mogłaby rozwijać samodzielną inicjatywę i pobudzić działalność naszych sił autorskich”. Zdanie to świadczy o tym, że powodzenie teatru poznańskiego rozbudziło apetyty kilku ludzi z piętądziesiąt i inicjatywa, którzy gotowi byli w parę miesięcy zbudować stały teatr w Warszawie, wietrzając w tym znakomity interes. Apetyty te generalnie hamowała carska dyrekcja teatrów rządowych, nie dopuszczając do powstania w Warszawie jakiegokolwiek innego stałego teatru polskiego.

W pierwszych dniach października teatr poznański opuszczał Warszawę jako bezapelacyjny zwycięzca w ówczesnej kampanii. Sukces artystyczny nie sędzi co prawda w parze z sukcesem finansowym, bo dyrektorzy z Eldorado i Alhambry zarobili o wiele więcej na niewybrednej szmierz i płaskiej operetce, ale i tak Doroszyński z Terenkoczem zarobili więcej niż przypuszczali. Zegnanie pochwalnym chórem całej prasy wyjeżdżali z zadowolonym ludźmi interesu, którzy nagłe odkryli... Warszawę.

Teatr poznański zdobył uznanie i sympatię szerokich rzesz warszawskiej publiczności teatralnej i zapewnił sobie pełne powodzenie na przyszłe sezony letnie. Już w roku następnym powszechnie przyjmie się w Warszawie nazwa „Teatr poznański”. Nazwa ta przez kilka warszawskich letnich sezonów Doroszyńskiego będzie znaczyła — „najlepszy warszawski teatrzyk ogródkowy”.

wać stały teatr w Warszawie, wietrzając w tym znakomity interes. Apetyty te generalnie hamowała carska dyrekcja teatrów rządowych, nie dopuszczając do powstania w Warszawie jakiegokolwiek innego stałego teatru polskiego.

W pierwszych dniach października teatr poznański opuszczał Warszawę jako bezapelacyjny zwycięzca w ówczesnej kampanii. Sukces artystyczny nie sędzi co prawda w parze z sukcesem finansowym, bo dyrektorzy z Eldorado i Alhambry zarobili o wiele więcej na niewybrednej szmierz i płaskiej operetce, ale i tak Doroszyński z Terenkoczem zarobili więcej niż przypuszczali. Zegnanie pochwalnym chórem całej prasy wyjeżdżali z zadowolonym ludźmi interesu, którzy nagłe odkryli... Warszawę.

Teatr poznański zdobył uznanie i sympatię szerokich rzesz warszawskiej publiczności teatralnej i zapewnił sobie pełne powodzenie na przyszłe sezony letnie. Już w roku następnym powszechnie przyjmie się w Warszawie nazwa „Teatr poznański”. Nazwa ta przez kilka warszawskich letnich sezonów Doroszyńskiego będzie znaczyła — „najlepszy warszawski teatrzyk ogródkowy”.

Ciekawa statystyka*)

Na kuli ziemskiej znajduje się w tej chwili 379 wielkich miast, liczących powyżej 100 tysięcy mieszkańców. W ośmiu miastach, wraz z ich przedmieściami, zamieszkuje łącznie 300 milionów ludzi. Każdy ósmy człowiek żyjący na ziemi, żyje w wielkim mieście. Przed pięćdziesięciu laty było zaledwie 299 takich wielkich miast z około 100 milionami mieszkańców. W Australii żyje przeciętnie co trzeci, w Europie i w Ameryce co piąty, w Azji co czternasty i w Afryce co dziesięć człowiek w wielkim mieście. W Australii i na Hawajach, zamieszkuje w miastach z górą połowa całej ludności tych krajów, w Wielkiej Brytanii powyżej dwóch piątych, w Austrii, w Belgii, w Holandii, w Kanadzie, w Argentynie, w Urugwaju i w Nowej Zelandii z górą trzy dziesiąte a w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, we Francji, w Chile, w Syrii, w Iraku, w Libanie — powyżej jednej czwartej całej ludności tych krajów.

Pomiędzy miastami wielkimi, skupienia ludności liczące jeden milion mieszkańców i więcej, zajmują miejsce szczególne. I tak w 69 miastach na kuli ziemskiej mieszka łącznie 150 milionów

ludzi. Przeciętnie więc co szesnasty człowiek zamieszkuje milionowe miasto. 23 takie miasta leżą w Europie, 21 w Azji, 16 w Północnej Ameryce, 5 w Południowej Ameryce, 2 w Afryce i dwa w Australii.

Największym miastem na świecie jest Nowy Jork, który liczy 12 833 000 mieszkańców (samo wielkie miasto liczy 7 835 000). Nowy Jork posiada więcej mieszkańców, aniżeli cała Unia Południowo-Afrykańska. Wielki Londyn ze swoimi 8 346 000 mieszkańców, stoi na drugim miejscu, w tym przedmieścia liczą 4 998 000 mieszkańców. Z kolei następuje Tokio (6 227 000 mieszkańców) i Moskwa licząca od 6—7 milionów ludności. Chicago z przedmieściami posiada 5,4 mil. wielki Paryż wraz z przedmieściami 4,9 mil. Powyżej 3 mil. posiadają: Filadelfia (3,7), Osaka (3), Kalkuta (4), Buenos Aires (4), Leningrad (3) i Berlin (3,3). Granicę dwóch milionów przekroczyły: Detroit (2,9), Boston (2,4), San Francisco-Oakland (2,2), Mexico City (2,4), Rio de Janeiro (2,7), Sao Paulo (2,2), Bombay (2,3), Hongkong (2) i Kairo (2).

*) Dane z roku 1950/51.

40 lat temu

Georgij Sjedow wyruszył do bieguna

„Projekt mój nie jest chimera, jest on całkowicie możliwy do wykonania. Już w X w. Ocean Lodowaty porywał wyobraźnię, a surowa Północ niesła marynarzom klęskę i zagładę. Żadne jednak niebezpieczeństwa nie odstraszały odważnych badaczy: umysł ludzki tak jest pochłonięty tym zagadnieniem, że rozstrzygnięcie go stało się przedmiotem współzawodnictwa wszystkich narodów...”

Amundsen chce ruszyć na Północ w r. 1913. My zaś moglibyśmy wyruszyć jeszcze w roku bieżącym...

Głównym moim celem jest dotarcie do bieguna jako do dokładnie określonego astronomicznego punktu. Czy będzie on leżał na krze lodowej, pływającej lub nieruchomej, albo gdzie indziej — nie jest to ważne. W czasie wyprawy zamierzam prowadzić poważną pracę naukową i nie spoczne, aż tę stronę mego przedsięwzięcia nie postawię na należytych poziomach.

Powyższe słowa napisane twem, wyznaczałem zawsze Sjedowa”.

Jeżeli do tej krótkiej i bardzo pobieżnej charakterystyki Sjedowa dodamy, że był on marynarzem z prawdziwego zdarzenia, z powołania i umiowania marynarskiego zawodu, i że wielkim celem jego życia było wszechstronne poznanie mórz Dalekiej Północy, to wtedy zgodzić się trzeba, że człowiek ten doskonale — może najlepiej ze współczesnych mu Rosjan — nadawał się na przeprowadzenie wyprawy do bieguna.

Jednak zaszła rzecz na pozór paradoksalna. „Amundsen chce ruszyć w r. 1913 — pisał Sjedow. — My zaś moglibyśmy wyruszyć jeszcze w roku bieżącym, byłoby społeczeństwo rosyjskie zechciało poważnie pomyśleć o tym, żeby wyprzedać obce kraje, i okazało pomoc”.

„Społeczeństwo” pomocy tej nie okazało, a nawet wręcz odmówiło, i niemało było nawet prób zupełnego storpedowania projektu, zakazania ekspedycji.

Przyczyna tego pozornego paradoksu leżała w niczym innym, jak w niskim pochochodzeniu Sjedowa. Jeżeli napisano uprzednio, że Sjedow już jako kilkunastoletni wyrostek rozpoczął służbę na morzu, to nie oznacza to, że pełnił ją w charakterze kadeta Korpusu Morskiego, dostępnego tylko dla wysoko urodzonych. Sjedow, syn prostego i ubożego rybaka, musiał dorabiać się wiedzy morskiej w biedzie i poniewierce, w

znojnym trudzie pracy fizycznej. Pracował i zarabiał na życie gdzie i jak się dało. Jako chłopak na posługi, prosty marynarz na statkach handlowych, tragarz portowy. I równocześnie znajdował tyle czasu i siły, żeby kształcić. Powoli, ale z ogromnym uporem pisał się po szczeblach morskiej kariery. Do stał się do Szkoły Morskiej w Rostowie, mając lat 21 opuścił ją z patentem szturmana dalekiej żeglugi. Później był kapitanem na kilku statkach handlowych. Wreszcie wstąpił jako ochotnik do marynarki wojennej i w krótkim czasie otrzymał rangę chorążego. Następnie, jako ekstern zdał egzamin z kursu Korpusu Morskiego, otrzymał nominację na porucznika i posadę w Głównym Urzędzie Morskim.

Dziesięć lat później był jednym z najwybitniejszych pracowników tego urzędu, miał za sobą szereg udanych wypraw badawczych i imię dobrego znawcy Dalekiej Północy. Ale, oczywiście, w niczym to nie zmieniło faktu, że był synem prostego rybaka. I właśnie dlatego ten odłam społeczeństwa, na którym musiał Sjedowowi zależeć z uwagi na potrzebne dla wyprawy pieniądze, zawiódł. Nie tylko odmówił pieniędzy, ale wręcz szkodził i utrudniał wyprawę synowi jakiegoś rybaka, jak gdyby nie było tylu marynarzy szlachetnego pochodzenia...

Pomimo tego Sjedow dopiął swego. Pomógł mu ciekawość patriotycznej części społeczeństwa. Wokół wyprawy zrobił się szum, poważniejsza suma dała w przystępnie dobrego humoru car i to oczywiście przeważało na szali. Sjedow z trudem zebrął środki i przygotował ekspedycję. 27 sierpnia 1912 roku stary parowiec „Swiatłoj Foka” odpiął z Archangielska na północ.

„O 3 po południu z Archangielska, z Przystani Sobornej, odpiął parowiec „Sw. Foka” z ekspedycją Sjedowa do Bieguna Północnego. Przed odpięciem parowca wobec licznie zebranej ludności zostało odprawione nabożeństwo na intencję podróży. Jego świątobliwość Nafanail przysłał obraz Zbawiciela, burmistrz przyniósł obraz Archanioła Michała. Po nabożeństwie podano szampana.

Pierwszy toast za cara przyjął pełnym zapałem okrzykiem „ura” i trzykrotnym odegraniem hymnu” — napisał w „Petersburskich Wiadomościach”.

Przyjaciele Sjedowa mówili po tym nie bez słuszności, że statek wyposażono niewiele w obrazy, ale nie w radio, bowiem rząd nie udzielił urlopu przewidzianemu na członka wyprawy radiotelegrafistę.

Wyprawa Sjedowa nie powiodła się. Już we wrześniu statek utknął w lodach u brzegów Nowej Ziemi. Po roku, w trakcie którego Sjedow i towarzysze przeprowadzili badania naukowe, uwolniony z lodów statek ruszył dalej, jednak zdołał dojść tylko do Ziemi Franciszka Józefa, gdzie przeziłmował po raz drugi. Z początkiem lutego 1914 roku Sjedow, sam już osłabiony i niezdrowy, postanowił wyruszyć zaprzęgiem psim na zdobycie bieguna. W drodze, wycieńczony, zmarł 5 marca na Wyspie Rudolfa. Uwolniony z lodów po drugim zimowaniu statek powrócił do brzegów Rosji już podczas trwania wojny światowej.

Jedynym epitafium, jakiego doczekał się z kół rządowych Sjedow, były słowa ministra marynarki Grigorowicza, który oświadczył: „szkoda, że ten łajdak nie wrócił — wytoczyłbym mu sprawę sądową za przeterminowany urlop”.

Dopiero w Rosji radzieckiej ogromne zasługi Sjedowa nad poznaniem, wykorzystaniem i ujarzmieniem wód Północy, zostały w pełni docenione. Szkołę Morską w Rostowie, w której uczył się Sjedow, nazwano szkołą jego imienia. Ponadto nazwę „Sjedow” nadano jednemu z lodolamaczy Floty Północnej. Na lodolamaczu tym kontynuując prace wielkiego badacza Północy uczeni i marynarze radzieccy przeprowadzili szereg wypraw badawczych, w tym słynny ponad dwa lata trwający dryf lodowy z Morza Łaptiewych na wody grenlandzkie. W ten sposób nazwisko Sjedowa związane dodatkowo z historią radzieckiej Arktyki.

JERZY PERTEK

Dożynkowa satyra

(Dokończenie ze str. 1)

wano je wijąc wieniec za opłotkami dworskimi, po spichrach i brogach. Czasem tylko w czasie zabawy dożynkowej zakropionej wódką wyrzywały się jakieś strofki, które kazaly panom szukać schronienia w zaciemnionych komnatach. Witano je huraganem radości.

Czasem w ślad za zmykającym dziedzicem pod melodię dożynek wpadał kamień do pałacu.

Pod tę samą melodię — jak w noworocznej szopce w mieście — podkładano rymy, które brzmiały rzadziej jeszcze tonem pieśni rewolucyjnej, częściej tonem oryginalnej wiejskiej satyry. To były właśnie owe „paszkwile”.

Pamięć ich po wsiach, mimo że zyczący dożynek w 20-lecie międzywojennym zaczynał zanikać, jest jeszcze żywa. Należałoby chronić je od zapomnienia, spisywać i drukować.

Fale ultrakrótkie w walce ze szkodnikami zbożowymi

Już od dawna znanym jest, że prąd elektryczny o wysokiej częstotliwości działa wybitnie sterylizująco, niszcząc drobnoustroje, a nawet wyższe organizmy. Ostatnio pojawił się projekt zastosowania tychże prądów elektrycznych do bardzo praktycznego celu. Jak wiadomo, ogromne ilości zboża magazynowane w silosach, muszą być od czasu do czasu przewietrzane i chłodzone, aby jeżeli już nie uniemożliwić, to przynajmniej utrudnić rozwój pasożytów zbożowych, psujących wielkie ilości ziarna. Ale samo przewietrzanie nie jest idealnym rozwiązaniem. Nie mówiąc już o tym, że kosztuje ono dużo pracy, to powoduje jeszcze ponadto straty w ilości zboża. Stwierdzono bowiem, że z każdym przewietrzaniem, waga zboża zmniejsza się o pół procent, wskutek wysychania. A przy tym przewietrzanie przecieł szkodników nie tępi.

Wpadnięto zatem na pomysł unieszkodliwiania wszystkich pasożytów zboża za jednym zamachem, tak, aby żł z mogło być już spokojnie zmagazynowane i, żeby nie trzeba było je ciągle wentylować. Próby przeprowadzone na wielką skalę z urządzeniem elektrycznym, dały niezwykle dobre rezultaty. A mianowicie poddano działaniu fal elektrycznych ultrakrótkich ziarna pszenicy, kukurydzy, maki, krochmal, tytoń, orzechy, fasole, groch, suszone owoce itd. Zarówno bez opakowania, jak i w opakowaniu gotowym. Naświetlono falami o mocy 20 KW i o długości 7 m. A zatem jeszcze krótszymi, aniżeli ultrakrótkie fale, używane w radiotechnice. Wystarczy czas naświetlania kilku sekund, aby w zupełności wytepić wszystkie owady, ich jajeczka i gąsienice oraz drobnoustroje bez żadnej szkody dla samego ziarna, które wykazywało potem jeszcze lepszą zdolność kiełkowania. Na podstawie przeprowadzo-

nych badań nie ulega wątpliwości, że decydującym czynnikiem nie jest samo podwyższenie temperatury na 50 do 60 stopni, tylko raczej fale ultrakrótkie swoją przenikliwością, wywierają niszczący wpływ na szkodniki.

Ciekawym jest samo urządzenie, służące do naświetlania wielkich ilości ziarna w przepisanym, krótkim czasie bez zbyteknych kłopotów. Jest rzecz jasna, że nie można ogromnych mas zboża tak naświetlać, jak się naświetla

np. lampą kwarcową, tylko musi być jakieś urządzenie, przy którym zboże znajduje się w ruchu i przechodzi ruchem ciągłym z miejsca na miejsce, pozostając w cienkiej warstwie pod działaniem pola elektrycznego, o wysokiej częstotliwości przez przepisany krótki przedział czasu. Urządzenie do tego celu służące, jest niezwykle proste. Oto zboże wydobywa się z górnego zbiornika w szklanej rynnie, ukrytej między dwoma płytkami mie-

dzianymi, która ukośnie schodzi w dół, przechodząc tuż obok aparatu wytwarzającego fale ultrakrótkie. Szybkość przesuwania się zboża w rynnę da się łatwo wyregulować. W ten sposób, niezwykle prosty i bardzo praktyczny można zapewnić, tak przynajmniej twierdzą wynalazcy, magazynowanie zboża i innych środków żywności przez dłuższy czas w niezagrożonym stanie, bez konieczności ciągłego przewietrzania. (fh)

Biały robotniku — oto moja dłoń

(Dokończenie ze strony 2)
mordowany został wówczas weteran wojny — M. Snap za to, że wziął udział w głosowaniu.

W myśl przysłowia:

„The politicians...”

W listopadzie br. Amerykanie wybierali będą prezydenta i członków Kongresu. Już dzisiaj oblicza się, że z ogólnej liczby 15 mil. Murzynów w wyborach tych będą mogli wziąć udział najwyżej 3 miliony. Mimo tych przewidywań reakcja amerykańska wie dobrze, że nawet tak nikły odsetek Murzynów (20 proc.) może mieć kluczowe znaczenie dla zwycięstwa

jednej z dwóch partii, zwłaszcza, że w takich stanach jak Nowy Jork, Illinois, Michigan czy Ohio, gdzie różnica głosów między demokratami, a republikanami wynosiła w 1948 r. zaledwie 5 procent.

Nie więc dziwnego, że kandydaci na prezydentów prześcigają się w obietnicach, celem pozyskania głosów murzyńskich. Eisenhower i Stevenson idą nawet tak daleko, że w „osobistych zapewnieniach” ogłaszają, że każdy z nich „walczyć będzie” o realizację programów praw cywilnych ludności murzyńskiej. Nieszczerze tych wypowiedzi najlepiej demaskuje oficjalne stanowisko obu partii wyrażone w tzw. „platformach”, wypowiadających się jawnie przeciwko utworzeniu federalnej komisji do walki z dyskryminacją rasową. A „platformy” te — jak zawsze — tworzy się po to, aby móc potem żonglować między ich programem, a „osobistymi zapewnieniami” kandydatów, odrzucając bez skrępowania wszelkie niewygodne, a zapowiedziane przed wyborami przyrzeczenia. Inaczej nie istniałoby w Ameryce popularne do dzisiaj przysłowie: „The politicians are all crooks — „Wszyscy politycy są krętaczami”.

Czas ujarzmienia
dobiega końca

Na szczęście — świat XX w. przestał być kurkiem zabitym deskami. I dlatego nawet poprzez amerykańską „żelazną kurtynę” przenika do USA postępowe idee, budzące z długiego odrętwienia masy ludowe i dające jej pewność zwycięstwa w ich walce o wyzwolenie społeczne. Powolny, lecz stały proces rozwojowy tych idei rozsadza świat kapitalistyczny od wewnątrz, pozwalając spojrzeć innymi oczyma także i na problem murzyński w USA.

Przeciw hanieblnej dyskryminacji rasowej coraz odważniej i aktywniej występują nie tylko Murzyni i inni „kolorowi” obywatele USA, ale także i postępowi „biali Amerykanie”. Liczne wiece i zgromadzenia organizowane przez postępowych polityków ściągają dziesiątki tysięcy ludzi. Budzi się świadomość społeczna robotników amerykańskich, którzy zaczynają rozumieć swoją misję historyczną, opierając swoją walkę o postępowe związki zawodowe. Coraz poważniejszą rolę w życiu Ameryki odgrywa powstała w 1948 r. partia postępową której jednym z celów jest walka przeciw dyskryminacji rasowej i propagandzie rasistowskiej w USA. Czas demagogii, politycznych awanturników i ujarzmiania mas pracujących przez monopolistyczny kapitał dobiega końca.

Dlatego nawet mimo udziału burżuazyjnych przywódców murzyńskich popierających kandydata republikańskiego masy murzyńskie mogą w zbliżających się wyborach opowiedzieć się za partią postępową.

Zapowiedzią przemian rewolucyjnych tkwiących głęboko w narodzie murzyńskim jest m. in. jego twórczość. Przez usta swego poety Langston Huse'a naród murzyński wzywa do jedności w tej walce ludzi białych słowami:

Zmieciemy niewolnictwo
Zburzymy zło
Zdobędziemy ziemię,
Fabryki,
Drapacze chmur,
Banki,
Kopalnie,
Wszystko.
Biały robotniku,
Oto moja dłoń,
Dzisiaj równi jesteśmy,
Ty i ja.

Felieton

Fantazje widłami na wodzie spisywane

Popularny autor popularnych powieści, na pół realistycznych na pół fantastycznych, o sensacyjnym wątku, wydawanych przed wojną w stosunkowo dużych nakładach — znany powszechnie Dołęga - Mostowicz lubi „rozrabiać” w swych powieściach temat gospodarczy — kryzysowej rzeczywistości przedwojennej Polski. Miał w tym szczególną pasję. Odsunął na dalszy plan bajanta Mniszkówny o życiu hrabiów i ordynatów z wielopokłównymi koronami w herbach. W miejsce melodramatu rozgrywanego w gruby murach starego zamczyska wprowadził Dołęga - Mostowicz konflikt w tamtych czasach bardziej prawdopodobny, choć mocno wykrzywiony. Czytelnik jego książek, przeważnie drobnomieszczańskiego autoramentu, pragnął bowiem znaleźć, choćby tylko w fikcji powieściowej, rozwiązanie gniejących go sprzeczności ustroju, który gnił mu barki wielokilogramowym ciężarem. Nie będziemy wnikać w szczegółową krytykę błędnej interpretacji ówczesnej sytuacji gospodarczej państwa przez pisarza, którą Dołęga-Mostowicz przy odrobinie bardziej sprężynowanego stanowiska, mógłby pokierować inaczej.

*
Pamiętacie powieść „Bracia Dalcz i Ska”?

Cóż jest treścią tej fantastycznej historii pomijając nieodzowny w tego typu utworach ładunek dziwacznej erotyki?

Dalcz, odepchnięty syn fabrykanta, na wieść o śmierci ojca wraca do Warszawy. Jest on ponad miarę brutalny w działaniu i daleko sprytniejszy od rodzeństwa. Nie cofając się przed fałszerstwami (w liczbie nawet bardzo mnogiej) obejmuje fabrykę. Lecz to nie zaspokaja jego żądzy władzy. Manipulując fabrycznym kapitałem, staje się dyktatorem finansowym całego kraju. Później potencjalnym kandydatem na premiera sanacyjnego rządu. On — Dalcz — ma bowiem plan zlikwidowania kryzysu. Lecz i to jest bohaterowi mamony za mało. Chce rządzić światem. I — fantazjuje dalej Dołęga - Mostowicz — Dalcz faktycznie staje na kartach powieści dyktatorem finansowym gospodarki naszego globu. O pożyczki błagają go władcy wszystkich krajów, jedynie Dalcz może zapewnić uspokojenie szalejącego kryzysu.

Lecz cała historia Dalcza oparta jest na fałszerstwie i bluffie. Dalcz się kończy. Fabryka bankrutuje. Pod fałszywym paszportem ucieka i zachowuje

wawszy „mizerne” trzy miliony dolarów, gdzieś w Belgii, raduje się życiem z kuzynem, który okazał się w rzeczywistości piękną kobietą (z którą ten erotyzm).

I na tym koniec powieści. A kryzys? Ten oczywiście pozostał. Tylko przez kilka godzin autor dał czytelnikowi złudzenie, że może być inaczej...

Czy rzeczywiście „możło być inaczej”? Czy kapitalizm w ogóle, a gospodarka Polski mogła uniknąć konsekwencji należenia do systemu kapitalistycznego? Zwróćcie uwagę, że Dalcz — „genialny” finansista w istocie sprytny fałszerz — jest uosobieniem wątpliwej wartości ideału amerykańskiego bankiera, a wszystkie jego finansowe plany i poczynania zamykają się w prawach rządzących kapitalizmem w okresie imperializmu. Dalcz — powieściowa fikcja, a jednak ideał (dodajmy: nie dościgniony) pewnej klasy, miał być mesjaszem polskiego kapitalizmu. Dołęga - Mostowicz był jednak — trzeźwym autorem. Choć jego bohater wyskakuje jak „deus ex machina” z suterenu gospodarki światowej, w których znajdowała się Polska, lecz finansowy gmach jego walutowych spekulacji rozwiewa się niczym domek z kart — marzenia polskiej burżuazji o Dalczu - mesjaszu były widłami na wodzie spisywane. O tym Dołęga - Mostowicz wiedział dobrze.

O tym, że z pacybuta można zostać milionerem głosi legenda amerykańska. Jednak bajki, bez względu na to w jakim stuleciu powstały, mają w sobie tylko przez szkło powiększające dostrzegane ziarno prawdy. Oczywiście pacybut może zostać (teoretycznie) milionerem, jeśli spełni kilka (albo nawet tylko jeden) z warunków: 1) oszuka kogoś; 2) ukradnie komuś; 3) obrabuje po gangstersku kogoś lub ostatecznie (to jeszcze najuczciwszy sposób); 4) odzieńdziej po kimś.

Owszem, nie można powiedzieć, że takie dolarowe dynastie w USA, których założyciel szczylił się, że na początku swej kariery był pacybutem. Żaden z nich nie szczylił się jednak tym, jak zdobywał swoje pierwsze sto tysięcy. Powie tylko: robiłem interesy... W tym „robiłem interesy” zawarte są przeważnie pierwsze trzy punkty naszego zestawienia.

Dalcz w powieści Dołęgi - Mostowicza — to właśnie taki pacybut na światową skalę. Zapala się jak huk Volty wieloma tysiącami świec, by po kilku sekundach zgasnąć. Wspaniałe powodzenie genialna afery finansowej, któ-

re autor nagromadził na kilkuset stronach druku, spala się jak bibułka papierosowa — popiołu zostaje niewiele.

Koniec bajki — wybawiciel z kryzysu, lekarz rachitycznej gospodarki kapitalistycznej Polski nie przyjdzie. Czytelnik odarty ze złudzeń. Wraca do szarżyny dnia. Zostają konflikty — prawdziwe realia życia. Pozostaje walce robotników z Dalczami — większymi i mniejszymi, prawda o nieudolności gospodarczej cherlawego ustroju, który zastrzykiem narkotycznej kokainy usiłował podnieść do życia ten Dalcz z powieści.

*
Trudno powiedzieć, żeby powieści Dołęgi - Mostowicza były w tamtych czasach nieciekawe. Wiele z nich odkrywało, czasem nawet bardzo ostrym, satyrycznym piórem, prawdę międzywojennych rządów zagranicznego kapitału i głupawej sanacji. Taka „Kariery Nikodema Dyzmy” to kapitalny pamflet na stosunki w sanacyjnej kłicie. Człowiek bezczelny, dostawczy się na raut dzięki przypadkiem znalezionemu zaproszeniu, sponiewierawszy srodze nieznanego sobie dygnitarza, urasta do wielkiej roli w państwie.

Znów powtarza się motyw „wybawiciela” z sytuacji gospodarczej. Nikodem Dyzma pnie się błyskawicznie po szczeblach tytułów prezesów, dyrektorów i plenipotentów. Sam nie wie, nie umie, na niczym się nie zna. Opowiada jednak, że studiował w Cambridge czy Oxfordzie. Gra się udaje i wszyscy idzie jak z płatka. Wreszcie sanacja (dodajmy: jego wiedzę) chce mu powierzyć w ciężkich dla rządu chwilach stanowisko premiera. Nikodem Dyzma ma ratować państwo od finansowej ruiny. Wystarczy się przez swych „kolegów” z angielskiego uniwersytetu o zastrzyk finansowy dla kraju, bo jedynie takie zbawienie wyobraźli sobie nasi międzywojenni wielkorządcy. Nikodem Dyzma (coż za „roztropny polityk”) — odmawia. Boi się przecież kompromitacji. Co innego stanowisko prezesa, a co innego konferencja w Londynie. Jego studia w Anglii to przecież jedna wielka bujda, o której wie tylko Dyzma.

Rzecz o bezczelnym Nikodemie do policzek dla sanacji, złośliwy, bardzo celny pamflet na ówczesne stosunki. W obu powieściach odsłania się prawda o reżimie, który był „silny, zwarty i gotowy”, a w istocie włożył się po przedpokojach bogatych krewnych, którzy zresztą niewiele się przejmowali losem biednego kuzynka, aż puścili jego

gospodarkę na wojenną licytację bez ceny wywoławczej.

*
Brak oczywiście w powieściach Dołęgi - Mostowicza wniosków. Odsłaniając obyczajne szczytów burżuazji nie sięga do konsekwencji ustroju, nie odsłania istoty problemu. Gorzej — fałszuje go często w sposób kłamliwy. Tak na przykład rola rewolucyjnych sił polskiej klasy robotniczej, nie przemierzana przez autora, jest jednak skrzywiona w nieforemny zwierciadło burżuazyjnego pisarza, którego ideologia zamykała się przecież w ramach akceptacji ustroju kapitalistycznego. Walce społeczna w powieściach Dołęgi - Mostowicza to jakaś karykatura nie podobna do pierwowzoru. W niektórych szczegółach składa się nawet z prawdziwych elementów, lecz całość kłamie. Dziś z perspektywy czasu możemy bez trudu rozpoznać, gdzie tkwił igrzasto, gdzie prawda.

Lektura powieści „Literatury drugorzędnej” bywa po wielu nawet latach nudna. Powieść, pisana dla określonej chwili, dla finansowego powodzenia kilku kolejno po sobie następujących wydań, przestaje istnieć, traci swój żywot. Tak jest właśnie z powieściami Dołęgi - Mostowicza, z których tylko historia bezczelnego Nikodema Dyzmy powinna wytrzymać dłuższą próbę czasu, jako satyryczny dokument obyczajów „górných dziesięciu tysięcy” w międzywojennej Polsce.

Z pobłażliwym natomiast uśmiechem będziemy patrzeć na majaki o burżuazyjnym mesjaszu Dalczu. Zaryzykujemy nawet twierdzenie, że wielu młodszych, nie zaznajomionych (choćby nawet pobieżnie) z zasadami ekonomiki burżuazyjnej i sytuacji Polski sanacyjnej, nie będzie się tym interesowało — są to sprawy od nas bardzo już dalekie.

Polsce nie byli potrzebni Dalczowie. Ich przeciwnicy, rewolucyjna klasa robotnicza poszła tyśiąckroć dalej, niż największe fantazje Dołęgi-Mostowicza. Oczywiście fantazje te nie sięgały w tym właśnie kierunku. Pisarz dla drobnomieszczaństwa marzył sobie, że Polska stanie się Ameryką z jej gangsterami „big business”, a stało się — jak wiadomo — zupełnie inaczej.

Wyszliśmy z suterenu gospodarki światowej. Fundamenty położone. Gmach rośnie coraz większy. Bez Dalcza, Nikodema Dyzmy, prokuratora Alicji Horn i zredukowanego dr Murka.

Jacek Milewski

Dywany turkmeńskie

Znana jest powszechnie turkmeńska sztuka wiazania dywanów, a sława jej sięga najdawniejszych czasów. Już w XIII wieku, zarówno arabski geograf Ibn Said jak i włoski podróżnik Marco Polo, wspominają w swoich zapiskach o dywanach turkmeńskich. Twórcami owych dzieł sztuki ludowej są kobiety. Wartość takiego dywanu polega nie tylko na odpowiednim doborze kolorów, lecz również na układzie symetrycznym rysunku, który łącznie z zasadniczą barwą tworzy harmonijną całość. Przede wszystkim jednak dywany turkmeńskie cenione są za swoją trwałość. Ścisłość wiazania, w połączeniu z równomierną powierzchnią jest ich podstawową zaletą. Wzrost w wielkości rasta i według ich ilości, ocenia się wartość dywanu. Zwykły dywan powinien zawierać na jednym metrze kwadratowym od 250 do 300 tysięcy węzłów. Słynąca się jednak wyjątkowo okaz, które obejmują ponad 700 tysięcy węzłów na jednym metrze kwadratowym. Największy dywan turkmeński, będący równocześnie największym dywanem na świecie liczy 192 metry kwadratowe powierzchnią służy jako kurtyna teatralna. Do barwienia podstawowego surowca wiananego używane są barwniki naturalne. Zamiat jednak dawnych 10 do 15 odcieni, obecna ich ilość przekracza przeszło 100.

Od momentu Rewolucji Październikowej sztuka wiazania dywanów turkmeńskich z roku na rok rozwija się coraz lepiej. Obecnie ów przemysł ludowy objął z górą 20 tysięcy ludzi, zrzeszonych w spółdzielniach i w pracowniach artystycznych. J.